

# Nie każdą poprzeczkę udało mi się pokonać

KRZYSZTOF PENDERECKI wyjaśnia, dlaczego po latach wrócił do swej pierwszej opery „Diabły z Loudun” i co z tego wyniknęło

Po co było zmieniać „Diabły z Loudun”? To przecież najczęściej wystawiana w świecie pańska opera.

KRZYSZTOF PENDERECKI: Pół wód był bardzo prosty. Partytura powstała w latach 60. dla Opery w Hamburgu, jej dyrektor Rolf Liebermann pozostawił mi wolną rękę. Byłem młody, więc zaszalałem i skomponowałem operę na prawie stuosobową orkiestrę. Dziś tylu muzyków można spotkać tylko w największych teatrach, ja zaś nie zgadzałem się, by ktoś inny zrobił nową redakcję „Diabłów z Loudun” i zmniejszył skład orkiestry. Za namową więc mojego wydawcy i dyrektora Waldemara Dąbrowskiego postanowiłem zająć się tym sam. Spojrzałem w partyturę i utknałem w niej na dłużej. Nie tylko zmniejszyłem skład orkiestry, ale dopisałem nowe sceny, inne wydłużyłem. Partytura miała 206 stron, pogrubiała się o kolejnych 150, ale czas trwania opery właściwie się nie wydłużył. Niektóre fragmenty bowiem usunąłem lub skróciłem.

Ile inscenizacji miały do tej pory „Diabły z Loudun”.

Ponad czterdzieści.

Można więc uznać, że pańskie dziecko już dorosło i prowadzi samodzielne życie.

Nie odrzucam wersji pierwotnej, może być nadal

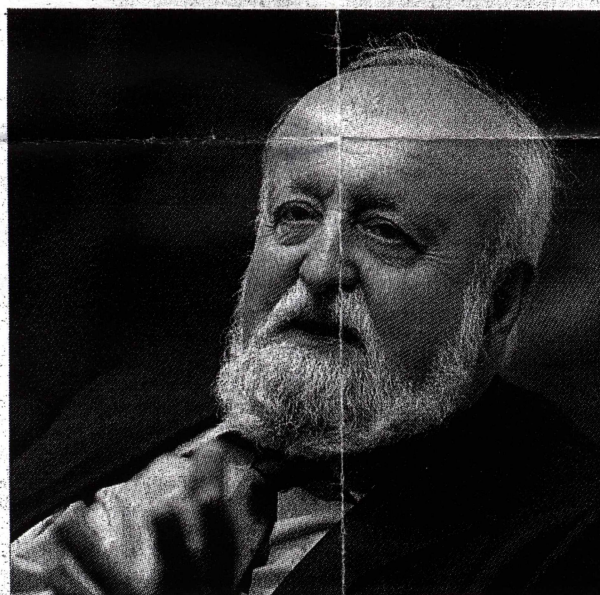
wykonywana. Po prostu mojemu dziecku, jak pan mówi, przekazałem doświadczenia zdobyte przez lata. Wiele się przecież nauczyłem, napisałem inne opery, więc wydaje mi się, że obecna partytura jest ciekawsza.

Nie sądzi pan, że dzisiaj „Diabły z Loudun” stały się bliższe współczesnemu widzowi? To przecież opowieść o fanatyzmie, ale też o władzy i manipulacji jednostkami.

Kiedy pracowałem nad „Diablami z Loudun”, ich temat przede wszystkim bulwersował. Do prasy niemieckiej wystosowałem na przykład protest biskupowi Stuttgarta, gdzie odbyła się druga premiera, zaraz po tej hamburskiej. Protestowali polscy biskupi, ale obronił mnie prymas kardynał Stefan Wyszyński. Dzisiaj do skandali natury obyczajowej już się przyzwyczailiśmy, poza tym nasz papież Jan Paweł II jako pierwszy w dziejach Kościoła przeprosił za inkwizycję. Demony z dawnych czasów zostały ujarzmione, choć sam temat się nie zestarzał, a utwór się obronił, co dla mnie jest największą satysfakcją.

Z jakimi odczuciami oglądał pan inscenizację Kelfha Warnera w Kopenhadze?

To znakomity spektakl. Bardzo się cieszę, że pozna go polska publiczność.



## Preludium premierowe

Spektakle „Diabłów z Loudun” poprzedzą dwa koncerty w Salach Redutowych zatytułowane „Preludium premierowe” z utworami Krzysztofa Pendereckiego. 1 października usłyszymy jedną z ostatnich jego kompozycji, jest to „Missa Brevis” na chór a capella w wykonaniu Polskiego Chóru Kameralnego. Marcin Zdunik zagra zaś „Divertimento” na wiolonczelę solo, a Ryszard Groblewski z towarzyszeniem Orkiestry „Sinfonii Varsovia” pod dyktando Marka Mosia wykona „Koncert na altówkę”. Drugi wieczór zaplanowano na 5 października, w programie jest „Trio smyczkowe” oraz „Sekstet” na skrzypce, altówkę, wiolonczelę, klarnet, waltornię i fortepian.

Ile widział pan inscenizacji „Diabłów z Loudun”?

Chyba dwadzieścia. Najbardziej zapamiętałem premierę w Stuttgarcie

w 1969 roku, świetne przedstawienia w Londynie czy w berlińskiej Staatsoper. Mógłbym wymienić jeszcze kilka.

Z prapremiery w Hamburgu nie był pan zadowolony. Podobno Konrad Swinarski, skądinąd wielkiej klasy artysta, trochę się podczas prób pogubił.

Nie był reżyserem operowym, nie pracował jak niemieccy inscenizatorzy, którzy reżyserują z wyciągiem fortepianowym, a nie z tekstem libretta. Tym niemniej to Swinarski przyjechał kiedyś do nas na wakacje nad morzem i przywiózł „Diabły z Loudun” Aldousa Huxleya oraz sceniczną adaptację tej książki dokonaną przez Johna Whitinga. Przeczytałem i od razu powiedziałem, że zrobię operę.

W latach 60. komponowanie oper było ryzykownym pomysłem. Tę sztukę traktowano jak przeżytek.

Fakt, nie tylko Pierre Boulez nawoływał, by teatry operowe wysadzić w powietrze. Niewiele osób dziś o tym pamięta. Opera po prostu istnieje i będzie dalej żyła.

Kiedy więc skomponuje pan kolejną?

Podpisałem umowę ze Staatsoper w Wiedniu na „Fedrę”. To temat, który w moich kalendarzach pojawia się od 30 lat. Wreszcie go zrealizuję.

To będzie „Fedra” według tragedii Racine’a?

Tak, ale nie do francuskiego tekstu. Jest on silnie związany z rytmem aleksan-

dryjskim. Mam bardzo dobre tłumaczenie niemieckie.

Oprócz „Fedry” chciałbym skomponować „Austerię”, również chodzi za mną od dawna. Ale jest też „Panna Julia” Strindberga – świetny materiał na operę jednoaktową. Nie wiem, czy zdążę wszystkie plany zrealizować, bo mam do skończenia dwie symfonie, a poza tym dużo komponuję teraz muzyki kameralnej.

Wraca pan do skromnych form po wielkich dziełach?

Muzyka kameralna jest najtrudniejsza. Zawsze stawiałem sobie poprzeczkę wysoko, nie zawsze udało mi się ją pokonać, czasem prześlizgiwałem się pod nią, ale wciąż próbuję. Co innego jest przebywanie na co dzień z wielką partyturą na stu pięcioliniach, a co innego komponowanie na jeden tylko instrument. Wtedy czuję się odpowiedzialny dosłownie za każdą nutę.

Najbliższe tygodnie upłyną panu pod znakiem ciągłych podróży.

Nieopatrznie zgodziłem się na tyle jubileuszowych koncertów. Czasem mam dosyć własnej muzyki, gdy słucham jej stale na próbach i koncertach. Ale z drugiej strony myślę sobie, że gorsza byłaby sytuacja odwrotna, gdyby nikt nie interesował się moimi utworami.

—rozmawiał Jacek Marczyński